

PIŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 3

WARSZAWA, 16 WRZEŚNIA 1935 ROKU



CIEKAWA LEKCJA



NAPRZÓD, MŁODZI, JUNACY!

Oto są ściany klasy:
obrazy i godła państwowe.
Żegnajcie pola i lasy,
rok szkolny zaczęty nowy.

Tamto się już skończyło:
wakacje i dni beztróskie.
Trzeba nam z nową siłą
znów zabrać się do książki.

Zewrzyjmy karnie zastępy,
natężmy wolę i chęci,
róbmy w nauce postępy,
i bystrość ćwiczymy pamięci!

Nad nami błękitne niebo,
przed nami szeroka ziemia: —
to świat — więc poznać go trzeba,
objąć rękoma obiema.

To Polska — wielka, bogata,
sercu najmiłsza, wierna,
każdemu z nas dobra matka
i nieśmiertelna.

Trzeba Ją mocno przygarnąć
do swej gorącej piersi,
trzeba Jej przyrzec ofiarnie,
że zawsze będziemy pierwsi!

Że ile tylko zdołamy,
ile w nas mocy, zdolności,
tyle Jej z siebie oddamy
i serca i miłości!

Więc baczość! Do góry czoła!
Zbierzmy swe siły do pracy!
Wszystkich nas książka woła:
hej, naprzód, młodzi junacy!

Antoni Madej

NOWA SZKOŁA

W naszej nowej szkole wszystko jest.
I sale do robót i klasy i szerokie korytaryze. A wszędzie wielkie, jasne okna.

Naszą szkołę wykończono dopiero tego lata.

Długo się budowała. Najpierw gmina dała plac, potem sejmik powiatowy ofiarował dużo cegieł i nasi ojcowie zwieźli tę cegłę na plac. Potem długo, długo nic się nie robiło i te cegły tak leżały na placu.

Dopiero jak przyjechał inżynier z planami i wytłomaczył, jaka ma być ta szkoła, zaczęto znowu robotę. Mój ojciec, że to i w Ameryce bywał i na murarce się znał, objął roboty jako majster, a ojcowie Bolka, Franka, Stacha, Małgosi, Józ i innych dzieci pracowali pod

jego kierownictwem. Czasem to i ja sam nosilem cegły albo rozrabiałem wapno. A już wszyscy pracowaliśmy przy robocie boiska szkolnego.

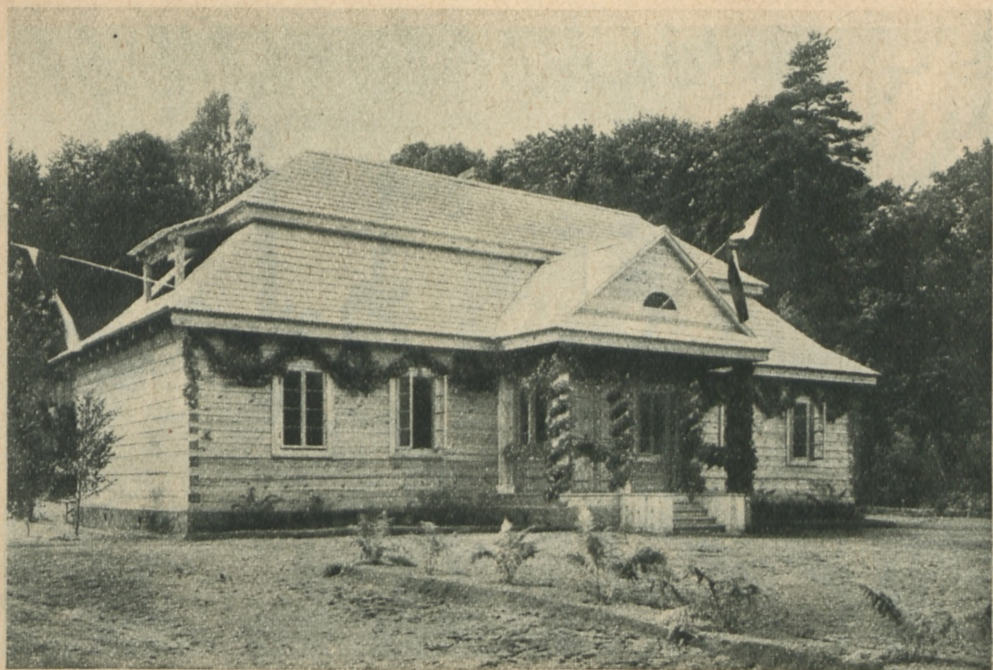
Każdy dokładał się, jak mógł, bo to przecież nasza szkoła.

Już kiedy wyprowadzili mury pod dach, okazało się, że niema pieniędzy na pokrycie budynku. I na okucia, na piece, na podłogi, na szyby.

Ale Towarzystwo Popierania Budowy Szkół powszechnych dało kilka tysięcy i oto mamy szkołę.

Śliczna jest. Taka biała, taka czysta! Mamy w niej nietylko śliczne klasy, ale i dużą pracownię stolarską.

Dziś było poświęcenie budynku. Wielka to była uroczystość. Przyjechał



pan inspektor z miasteczka i zastępca starosty i jakiś pułkownik w ślicznym ułańskim mundurze.

Nasz ksiądz poświęcił szkołę i przemawiał do nas. Potem my, 600 dzieci, śpiewaliśmy z całego serca różne piosenki, bo było nam wesoło.

A potem przemawiał jeszcze ten pułkownik i bardzo mi się podobało to co mówił.

A on tak jakoś gawędził:

— Kochane dzieci, kiedy byłem takim jak wy malcem, mieszkałem w wiosce podobnej do waszej. I w tej wiosce





także była szkoła. Ale nie polska, bo wtedy na tych ziemiach rządili Rosjanie.

Kiedym szedł do szkoły, to po drodze powtarzałem sobie imiona i tytuły carskiej rodziny, bo to w tej szkole była rzecz najważniejsza. Można było nie wiedzieć ile to jest 7×9 , ale musiało się wiedzieć, jaki jest tytuł 8-letniej córki cara, Tatjany Nikołajewny. Wiedźcie o tem, że inaczej się tytułowało następcę tronu, inaczej bliższą rodzinę cara a inaczej książąt krwi.

Rodzice moi chodzili do tej szkoły co jakiś czas, ale tylko poto, żeby się dowiedzieć, czy zdam do następnego oddziału, bo choć wszystko umiałem niezłe, trudno mi było odpowiadać w obcym języku. Pomyślcie tylko, geografja, rachunki, historia — wszystko po rosyjsku. Oczywiście geografja to była poważnie geografja Rosji, a historia — także historia Rosji. Najgorzej było ze śpiewem. Póki chodziło o piosenki, pół biedy, ale jak nauczyciel zapaścił się w teorię i zaczął opowiadać w obcym języku o interwałach muzycznych — może jeden syn organisty rozumiał o co chodzi.

Chodziło się do tej szkoły, jak do katorgi. Nieraz tam płakałem i nieraz płakałem po powrocie do domu.

A teraz, kiedy widzę polskie szkoły, w których budowie pomagali wasi rodzice, wzruszenie mnie ogarnia.

Dzieci, choć w waszej szkole będą ciemniejsze i jaśniejsze dni, wierźcie mi, wy jesteście szczęśliwi.

Was nikt nie bije za to, że mówicie swoim ojczystym językiem. I nikt wam nie każe wstydzić się obyczaju polskiego i duszy polskiej...

Kiedy pan pułkownik skończył, staliśmy jak trusie.

Wiedziałem, że ma być jeszcze deklamacja na trzy głosy i że Hania Kędziorkówna ma zagrać na skrzypcach. Ale jakoś nikt nie zaczynał.

A tu, patrząc, wstaje mój ojciec z krzesła.

Oczy ma takie błyszczące. I mówi:

— Przepraszam, panowie nauczyciele. Podobno coś tam jeszcze ma być. Ale ja myślę, że po tem, co nam pan pułkownik przypomniał, to tylko jedno pozostaje...

I zaczął swoim mocnym głosem:

— Jeszcze Polska nie zginęła...

A my, 600 dzieci, z całej piersi:

...póki my żyjemy!...

I ja myślę, że to była ładna odpowiedź na przemówienie pana pułkownika.

Jędrzek Gontarczyk

Budujemy szkoły

Chcieli ludziska pisać list,
do drugiej wsi musieli iść.
Oj, bieda, bieda.
I świat przed nimi zamknął drzwi,
bo gazet też nie czytał nikt.
Oj, bieda, bieda.
Rzekł do Macieja Bartek: „Wiesz,
chcemy mieć swoją szkołę też,
żeby mój syn...” „No, i mój wnuk...”
„Czytać i listy pisać mógł”.
Stała szkoła, gwarny ul,
a w niej dzieciaków bosych rój;

nim minął roczek, dziw! No, no,
umiało pisać dzieci sto.
Już czytać, pisać każdy mógł:
i Bartka syn, Macieja wnuk,
i drzwi przed nimi otwarł świat,
bo każdy książkę czytał rad.
Niech każdy dziś swą pracę da,
by szkoły miał nasz cały kraj,
by w całej Polsce wzdłuż i w szerz
i w każdej Woli, w Wólce też,
gdzie tylko promyk słonka drga,
z promykiem w chaty książka szła.

Wanda Malicka

PRZYJACIELE

Kiedy dzieci zaczęły się schodzić do szkoły, Józek Stawiak siedział już w ławce. Było jeszcze bardzo wcześnie — tyle czasu się nie widzieli, każde chciało się dowiedzieć, co się z innymi działo

na wakacjach, samo chciało opowiedzieć — ale patrzcie, pierwszy przyszedł Józek.

Biegali po podwórzu, bawili się, ale Józek się nie ruszył. Przysiadł się do



niego Staszek Mazur, poszeptali coś ze sobą i obaj już siedzieli razem, jak przymurowani.

Ten i ów zastanowił się nad dziwnym spokojem ruchliwego zazwyczaj Józka. Ale tyle było innych spraw — Jaś przyjechał opalony, jak murzyn. Stefan pokazywał na piasku, jak się pływa cravlem. Maniek gadał po góralsku, bo był na kolonji w Poroninie. Ani się nie opatrzyli, kiedy zabrzmiał dzwonek.

Po wakacjach człowiek jakoś się inaczej zabiera do nauki. Troszkę z żalem, a troszkę z ochotą. I pan nauczyciel, znany przecież dobrze, wydaje się jakiś inny, jakby nowy. Zapomniało się przez dwa miesiące, jak brzmi jego gruby, przyjazny głos.

Pierwsza lekcja, to nie była właściwie lekcja. Ot, opowiadało się różne rzeczy z wakacyj. Opowiadali ci, co wyjechali na kolonje, i ci, co zostali na lato w mieście, co robili i jak spędzili te dwa i pół miesiąca.

Cicho było w klasie, bo właśnie Mundeek opowiadał o zawodach kajakowych na Rabie. Aż tu nagle — krrr! krrr! — odezwało się coś przeciągle i wyraźnie. Wszystkie dzieci obejrzały się w kąt klasy, a pan nauczyciel myślał, że to głupie figle któregoś z ostatnich ławek i zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Nie chciał psuć nastroju tej pierwszej, takiej miłej godziny.

Tylko bliżej siedzący wiedzieli, skąd doszedł ów dziwny odgłos — od ławki Józka i Staszka. Ale to przecież chyba nie oni zrobili. Siedzieli wyprostowani sztywno, zmieszani, Józek aż zbladł.

Dzieci dalej opowiadały. A potem ci, którzy byli razem na kolonji, zaśpiewali piosenkę: — Oj dana, oj dana, kolonjo kochana! — tak głośno, że aż na podwórzu spłoszyła się kura i zagdakała przeraźliwie, trzepocąc skrzydłami.

W tej samej chwili Sabinka jakoś spojrziała ku ławce Józka i Staszka. Wstała. Była blada jak ściana. Każdy pieg na jej twarzy znać było, jak jaskrawą, czerwoną cętkę.

— Co się stało, Sabinko? — zapytał pan nauczyciel.



Nie odpowiedziała. Widać było, jak się jej trzęsą wargi, jak nie może z siebie wydobyć słowa. Powoli podniosła drżącą rękę i wyciągniętym palcem wskazała na tamtą ławkę. Ławkę Józka i Staszka.

Liczne oczy poszły za jej palcem. I wtedy nagle —

— Jezus Marja! — wrzasnęła przeraźliwie Zosia i jednym susem wskoczyła na pulpit. Janka rozplakała się głośno i weszczął się w klasie niemożliwy harmider.

Pan nauczyciel wszedł między ławki — i zrozumiał.

Przez otwór w pulpicie, do którego nie wstawiono jeszcze kałamarza, wysuwało się coś czarnego, cienkiego, wysuwało się coraz wyżej. Małe, okrągłe oczka patrzyły bystro. Stworzenie otworło pyszczek i ukazał się cieniutki, rozdwojony języczek.

— Wąż! — wrzasnęli jednym głosem ci wszyscy, którzy dotąd zachowali jaką taką równowagę umysłu. Józek przerażony zaczął bezskuteczne usiłowania nad wepchnięciem węża spowrotem pod pulpit. Ale gładkie ciało wymykało mu się między palcami. Wąż pełził pomału po ławce.

— To zaskroniec... to nic... to niejadowity! — pospiesznie, zacinając się

i bełkocąc tłumaczył Józek. Uspokoił się trochę, ale dla pewności co tchórzliwsi stali daleko, wielkim kręgiem, wyciągając tylko szyje ku niezwykłemu zjawisku. Tak, istotnie, to musiał być zaskroniec. Żółte plamy na głowie do- dały dzieciom otuchy.

— Co tam masz jeszcze pod pulpitem? — spytał pan nauczyciel, opierając dłoń o ławkę. Nie, pan nauczyciel nie bał się wcale. Oparł rękę tuż koło węża. Zobaczywszy to Janka przestała nareszcie płakać i w zamieszaniu wytarła dłońią czerwony od płaczu nos.

Józek stał, jak na rozpalonych węglach.

— To... to... kawka... — wykrztusił wreszcie i wybuchnął płaczem. Staszek Mazur sięgnął i wydobyl spod ławki ptaka. Kawka siedziała mu spokojnie na ręce i odezwała się chrypliwie:

— Krrr! krrr!

Dzieci wybuchnęły śmiechem. Tak zabawnie kręciła głowę i rozglądała się po klasie.

— Janek, skocz prędko po słój! — powiedział pan i Janek pogalopował na drugi koniec szkoły, przez cały korytarz, do gabinetu przyrodniczego. Ledwo trzasnęły za nim drzwi, a już był spowrotem. Pan wziął spokojnie zaskronca i włożył do słoja. Wąż zwinął się na dnie w pierścieniowaty kłębek. A kawka na ręku Staszka znów odezwała się:

— Krrr! krrr! — i kolnęła go dziobem w palec.

— Nie płacz — powiedział pan do Józka. — Co to za pomysł, chować całą menażerję pod pulpitem? Nastraszyłeś koleżanki, kolegów...

Józek nie odpowiadał, tylko płakał dalej.

— Proszę pana, bo on... — wtrącił się Staszek Mazur, jedyny, przypuszczony do sekretu.

— No co?

— Bo oni mieszkają w baraku — zaczął Staszek zdaleka i zawile.

Powoli pan nauczyciel wyciągnął z płaczącego Józka całą historję.

Węża znalazł w ogrodzie, kiedy był na kolonji. Pozwolili mu go chować — wąż był taki łaskawy, że pił ze spodeczka ciepłe mleko. I nie bał się zupełnie.

Spał w skrzyneczce, wysłanej mchem, i nie uciekał. A kawce chłopcy przetrącili skrzydło. Była jeszcze młoda i nie umiała sobie zupełnie radzić. Pielegnował ją długo, przyzwyczaiła się tak do niego, że chodziła za nim wszędzie, jak piesek.

No i kiedy przyszło wracać do miasta, Józek nie miał serca rozstawać się ze swoimi przyjaciółmi. Z wielkim trudem przewiózł w koszyku kawkę i węża, w najlepszej zgodzie.

Tragedja zaczęła się, kiedy wrócił do miasta. W izbie w baraku mieszkają dwie rodziny. Dzieci od razu narobiły krzyku, boją się węża. Matka się gniewa, że kawka brudzi po podłodze. Kazała zabrać „te zwierzaki” z domu.

Cóż miał Józek począć? Bał się, że kiedy pójdzie do szkoły, ktoś z lokatorów poprostu mu zabije kawkę i węża.

— A ja przecież... ona była taka ma- lutka i tak się wychowała... i tak mnie lubi... iii... — pochlipywał Józek, ale już mniej żałośnie, bo widział, że pan nauczyciel wcale się nie gniewa.

— Wąż też jest taki miły... jak tu szedłem, to mi spał w rękawie... i jak go wołam, to przychodzi... iii...

Pan nauczyciel pogłaskał Józka po głowie.

— Jakoś to trzeba załatwić. Wspólnie to obmyślimy. Tylko dlaczegoś od-



razu nie pokazał tych swoich przyjaciół? Obyłoby się bez krzyku i płaczu.

— Bałem się — wyznał cicho Józek. — Bałem się, że pan nauczyciel mnie razem z nimi wyrzuci...

Pan nauczyciel zaczął się śmiać, bo akurat kawka poważnie podeszła ku niemu i zaczęła stukać dziobem w jego rękaw.

— Wąż może zostać w gabinecie przyrodniczym. Zaopiekujemy się nim wszyscy, nieprawdaż? A kawka... hm... Sabinka wstała.

— Proszę pana... wujek możeby się zgodził...

Wujek Sabinki, to tercjan szkolny. Więc zaraz poszła delegacja i triumfalnie sprowadzono pana Marcina do klasy.

— Ano, niech sobie będzie. Może przecie latać i po podwórzu. Jeść się jej da, krzywdy jej nikt nie zrobi.

Józek się rozpromienił. Wąż i kawka znaleźli przytułek — a co najważniejsze, może ich codzień widywać.

— Zanieś-że teraz swoją przyjaciółkę do pana tercjana — powiedział pan.

Kawka zrobiła jeszcze raz — krrr, krrr, — a kiedy Józek na nią zawołał, podreptała za nim z klasy na korytarz, wlokąc po podłodze koniec zwichniętego skrzydła. Wąż tymczasem spał sobie spokojnie w słoju.

— Będziemy się nimi wszyscy opiekować — powiedział poważnie Staszek Mazur.

Na korytarzu zadzwieczał dzwonek. Wszyscy wybiegli na podwórze, gdzie na drągu od huśtawki siedziała kawka.

— Pozwolisz mi ją nakarmić? — pytał pokornie Mundek, wyciągając z kieszeni chleb z serem.

— A nakarm. Przecież ona jest teraz nasza, wspólna, całej klasy — powiedział Józek, spoglądając rozpromienionymi oczyma na czarnego ptaka, kiwającego się zabawnie na poprzecznym drągu huśtawki.

Wanda Wasilewska

NASZA SZKOŁA

Niema to, jak w naszej szkole,
gdzież jest dobrze tak, jak tu?
Tu sto dziewcząt, chłopców stu!
I choć prawda w oczy kole —
niema to, jak w naszej szkole!

Bo gdzieindziej czarna rozpacz:
same lenie, niedołęgi.

A tu? Sam się wkoło rozpatrz:
każdy chłopiec — junak tęgi.

Głowa nie wypchana słomą,
bo tu każdy — uczeń świetny,
mądry, niczem król Salomon,
a wesoly, jak dzień letni.

Bo gdzieindziej są dziewczęta
zaniedbane, jak sieroty.

Tutaj — trudno zapamiętać,
jakie śmiechy, jakie psoty!

Tu dziewczęta — jak te mrówki.
Niema brzydkich między niemi.
Wiedzy mają pełne główki,
nogi mają aż do ziemi.

Bo gdzieindziej w klasie pierwszej
darmo pędzi czas, jak zając.
Tu — czytają malcy wiersze
i napamięć książki znają.

Tutaj dzieci w klasie drugiej
zdolność mają wprost anielską
i ćwiczenia piszą długie,
nawet „dłuższe” (przez „o” z kreską)

Tutaj każdy w trzeciej klasie
dobrze zna się na kompasie.
Wszystkie dzieci w klasie czwartej,
wiedzą, kiedy będzie czwartek.

W klasie piątej, w klasie szóstej
także nie są głowy puste:
wiedzą nawet, jak kto siedzi
(wszyscy sobie są sąsiedzi).

Inne szkoły, co daj Bóg,
zapędzimy w kozi róg!
Bo choć prawda w oczy kole —
niema to, jak w naszej szkole!

Ed. Szymański

O TEM, JAK RADZONO W GMINIE SZKOLNEJ

Na ostatniej przerwie ogłosił wójt Olszak, że po nauce odbędzie się zebranie samorządu szkolnego.

— To wam mówię, aż wszyscy zostaniecie!.. — upomniął jeszcze każdego.

— O czym będziemy radzić? — zapytał modrooki Raszka.

— Potem zobaczysz!

Nauka się skończyła, pan nauczyciel wyszedł z klasy. Chłopcy pozostali, tylko znowu krzyczeli jak zwykle.

— Cicho!.. Nie robić piekła!.. — pokrzykiwał wójt Olszak i walił metrem po ławie.

Uciszyło się. Za katedrą zasiadł wójt Olszak, obok niego sekretarz Slowen-

czyk, z drugiej strony Raszka jako pierwszy ławnik, reszta ławników, skarbnik i zastępcy posiadali w kuczki pod tablicą. Chłopcy zaś pozostali w ławkach. Każdy siedział, jak komu było wygodniej. Kudłaty Donocik dłuwał w nosie i ziewał, a Metza-gołębiarz sterczał przy oknie i martwił się, że gołębie uciekną. Hajek-narciarz i Szczurek, drugi narciarz, klócili się spowodu smarów na narty.

— Cicho!.. Zaczynamy!.. — jął wołać wójt Olszak.

— Proszę!.. Ja mam jedno zapytanie!.. — wyrwał się Stritzki.

— Siedź teraz, dopóki ci głosu nie



udzielię!... — zgromił go poważnie Olszak.

— Proszę!.. Ale ja mam tylko jedno zapytanie...

Olszak tylko dłonią machnął, jeszcze raz walnął metrem o stół na znak, że rozpoczyna zebranie i zaczął:

— Szanowni koledzy!.. Zwołałem dzisiaj zebranie całej naszej gminy szkolnej, gdyż wpłynął nagły wniosek...

— Czyj?... — krzyknął ciekawo Drabina.

— Cicho!.. Nie przerywać!.. — ciągnął dalej wójt. — Oto wpłynął nagły wniosek mój!.. — i tu spojrzął po klasie, jaki to wywrze efekt. Zadowolony, że chłopcy się zdumieli, jał dalej urzędować. — Zanim jednak przystąpimy do obrad, proszę sekretarza odczytać protokół z ostatniego zebrania!

Nastąpiła cisza, bo każdy był ciekawy, jak też Slowencyk zmagistrował swój pierwszy protokół. Dobrze wypadł. Wszystko było zapisane, jak się patrzy.

Slowencyk skończył i odetchnął.

— Kto jest za przyjęciem protokołu? — zapytał wójt Olszak.

Wszyscy chłopcy podnieśli ramiona w górę na znak, że są za przyjęciem protokołu, a Weiser nawet podniósł nogę. Chłopcy prychnęli śmiechem.

— Ty, Weiser, jeżeli nie przestaniesz robić głupstw, to cię wykluczę z zebrania!.. — ofuknął go zgorzony wójt Olszak.

— A teraz mój nagły wniosek!.. — zaczął z powagą cedzić słowa. Chłopcy przestali się trącać i szczypać. Metzagołębiarz przestał gapić się na gołębie ratuszowe, a Donocik zapomniał kręcić palcem w nosie.

— Co? Co?... — posypały się pytania, bo Olszak miał strasznie tajemniczą minę.

— Przypominacie sobie jeszcze naszego Kucharyję?..

Chłopcy podnieśli wrzask, bo wszyscy przecież przypominają sobie Kucharyję.

— A wiecie, co się z nim dzieje?..

— Co?.. Nie wiemy!.. Mów, jeżeli wiesz!.. — krzyczeli chłopcy.

— Cicho!.. Nie przeskadzać!.. Oto Kucharyja umrze niezadługo!.. — rzekł

wójt tajemniczym, przyciszonym głosem.

— Ty, Olszak, jak się pisze: umrze? Czy przez „zet” z kropką, czy przez „erzet”? — szepnął sekretarz Slowencyk do ucha wójta. Notował bowiem pilnie, a lękał się błędu.

Olszak mrugnął kilka razy powiekami, podrapał się po głowie. Już wie!..

— Umierrrrać!.. — mruknął. — No, pomyśl!.. Umierrrrać, więc umrzeć przez „erzet”!..

Slowencyk już teraz wiedział. Zaczął pisać, a Olszak ciągnął dalej:

— Teraz Kucharyja znajduje się w szpitalu. O tem wszyscy wiecie z jego listu. Nie będę o tem już mówił. Ale jego trzeba ratować!.. Oto ujec powiedział, że dobry kolega ratuje swojego kamrata. Kucharyja jest naszym kamratem, a myśmy jego kolegami. No nie?...

— Tak jest!.. Tak jest!.. — wrzaśli chłopcy.

— Proszę!.. Ja mam jedno zapytanie!.. — wyskoczył Kurt Stritzki.

— Potem!.. Teraz jeszcze niema wniosków wolnych ani zapytań!.. Nie przeskadzać!

— Siadaj!.. Siadaj!.. — zaczęli krzyzczeć chłopcy i zakrzyczany Stritzki usiadł.

— Jak powiedziałem... — zaczął znów wójt Olszak, który zamierzał zostać kiedyś księdzem, — my musimy naszego kamrata Kucharyję ratować!.. On musi wyjechać do sanatorium...

— Co to jest sanatorium? — zapytał Szczypka.

— Zakład, gdzie się chorych leczy! — objaśnił za wójta modrooki Raszka, syn lekarza.

— Ale nie ma pieniędzy, a to dużo kosztuje... Otóż my się postaramy o pieniądze. A wiecie, jak?... Oto odegramy przedstawienie!..

— Ja!.. Ja!.. Ja będę grał!.. — jeśli teraz wrzeszczeć chłopcy, wydzierając się do wójta.

— Cicho!.. Siadać!.. Odegramy przedstawienie, a czysty zysk będzie na Kucharyję, żeby mógł pojechać do sanatorium. Kto jest za moim wnioskiem? Ręce podnieść!..

Nie było nawet potrzeba podnosić rąk, bo wszyscy chłopcy jęli krzyczeć, że to dobry wniosek.

— Notować, sekretarz!.. Wniosek przyjęty!.. — wołał Olszak do Slowencyka z wysuniętym koniuszkiem języka. Slowencyk razporaz wtykał pióro do kałamarza i pisał.

— Cicho!.. To jeszcze nie koniec!.. — wołał teraz Olszak, starając się przekrzyczeć gwar zebranych. Uciszyło się wkońcu.

— Ale tych pieniędzy będzie mało!.. Dlatego każdy z nas pomoże Kucharyi, jak będzie mógł. Zgoda?..

— Zgoda!.. Zgoda!.. — huczała klasa. Jedni klaskali w dłonie, drudzy walili pięściami po ławach, inni zaś wierzgałi, a wszyscy byli uradowani, że ich wójt Olszak wyjechał z takim świetnym pomysłem. Każdy już bowiem widział się na scenie w roli króla ze złotą koroną lub w roli diabła z widłami i ogonem. A pomoc dla Kucharczycyka każdy znajdzie.

— Jeszcze nie skończyłem!.. — jął wołać wójt Olszak, bijąc metrem po stole. Uciszyło się, a Olszak dalej tłumaczył: — Wniosek więc uchwalony, że klasa... Slowencyk, notujesz?..

— Notuję!.. — odparł Slowencyk.

— ...że klasa szósta postanowiła odegrać przedstawienie, żeby Kucharyja mógł wyjechać do sanatorjum na kurację, bo inaczej umrze. Zanotowane...

— Już!.. Pomalej mów... — wzdychał Slowencyk. — Ty, Olszak... a jak się pisze: umrze?

— Trąbo!.. Już ci mówiłem!.. Umierrrrać!.. Z takim sekretarzem, to do bani!..

— Jak ci się nie podoba, to sobie pisz sam!.. — oburzył się Slowencyk. I już wstawał, żeby odejść obrażony, ale Olszak umiał go udobruchać.

— Ty, jak nie będziesz pisał, to będzie figa z tych sowieckich znaczków listowych!..

Slowencyk usiadł znowu do protokołu i już teraz milczał, tylko pisał i pisał.

— Dalej... — jął znowu głosić wójt Olszak. — Każdy z naszej klasy będzie

się starał przyjść z pomocą na ten cel... Kto z kolegów pierwszy zgłosi się z pomocą?... Ja dam 5 złotych... Notujesz?..

— Notuję!.. — szepnął umęczony już Slowencyk.

— A ja dwa gołębie „garlacze” i jednego „krakusa”... — zgłosił Metz-gołębiarz.

— A ja ten dzwonek elektryczny... — zapiszczał błąd Gołyszny.

— Ja łyżwy... Są na mnie za duże!.. — huknął Nalewajka z Wiślicy.

— A ja kalesony i krawatkę!.. — zgłosił Urbach, co będzie kiedyś rabinem. Był to największy krzykacz w klasie, lecz dzisiaj siedział osowiały w ławie, bo tłumaczył każdemu, że go brzuch boli.

I długo jeszcze wszyscy łamali sobie głowę, jakby to uczynić, żeby Kucharyja miał jaknajwięcej pieniędzy, aż wkońcu Macura, co będzie kiedyś pastorem, oświadczył, że ma dobry projekt.

— Oto podaję wniosek, żebyśmy zaczęli zbierać flaszki po wszystkich domach... wiecie, takie próżne flaszki, a potem je sprzedamy... I za to zbierzemy sporo pieniędzy, nie?..

— Wniosek przyjęty!.. Notować!.. — rzekł z powagą wójt Olszak, a chłopcy znów jęli krzyczeć, że dobry pomysł z temi flaszkami.

— Mój tata je kupi!.. — oświadczył Blattan, którego ojciec fabrykował lemoniady i miał skład piwa.

— A mój też, jeżeli będą po lekarstwach i czyste!.. — dodał Olszak, syn aptekarza.

— A mój też, jeżeli będą po wódce i po spirytusie do palenia!.. — zgłosił Urbach, syn karczmarza.

— W porządku!.. Notować!.. Notujesz, Slowencyk?..

— Jak się pisze: po wódce?.. — zapytał Olszaka.

— Osobno!

— Ja wiem, ale czy przez „te” czy przez „de”?..

— Woda!.. Wódka, wyraz pochodny od woda!.. Mój ty święty Boże!..

— Aha!..

Na zakończenie wójt Olszak jeszcze oświadczył, że teraz trzeba wybrać dele-

gację, która się uda do pana kierownika, zgłosi uchwałę, i poprosi, by któryś z panów nauczycieli wyuczył klasę szóstą ról tej sztuki, którą uzna za odpowiednią.

— Kto się zgłasza? — zapytał.

Wybrano Metzę-gołębiarza, modrookiego Raszkę, Machalicę-Kiepurę, Hajka-narciarza i Urbacha-rabina.

— Ale kto będzie miał niedobłą notę z jakich przedmiotów, to niech się ani nie zgłasza po rolę!... — objaśnił jeszcze Olszak. — Bo mu jej pan nauczyciel nie da!..

— Proszę... Ja mam jedno zapytanie!... — zgłosił się znowu Kurt Stritzki.

— Proszę!.. Stritzki ma głos!..

— Ja chcę być djabłem!..

Chłopcy wybuchnęli ogromnym śmiechem, bo już sobie wyobrazili, jak Kurt Stritzki będzie na scenie odgrywał diabła z rogami, końskim ogonem i z widłami.

— A jeszcze wam jedno powiem!.. — zakończył wójt obrady. — Oto projekt, żeby Kucharyję ratować, podał nasz stróż szkolny, a powiedział, że on też mu pomoże... Może da zegarek, albo co!..

Nikt już się nie zgłaszał z wnioskami, przeto Olszak zakończył obrady podziękowaniem za tak liczny udział zebranych, poczem wszyscy pognali na ulicę, przeskakując po trzy stopnie naraz. Olszak zaś poszedł do stróża, by mu opowiedzieć, co klasa szóstą uradziła.

Gustaw Morcinek

STARA HISTORJA

Historja, jaka się tutaj będzie rozgrywała, zdarzyła się w miasteczku Chrypinie, leżącym nad nikłą rzeczką Chrypką. Jeżeli nikt z was nie zna tego

grodu, to i nic w tem niema dziwnego, bo nawet na największej mapie Chrypin jest w najlepszym razie łebkiem od szpilki pod potężnym mikroskopem.





Otóż w tem to mieście Chrzyplinie nad rzeczką Chrypką żyło siedmiu przyjaciół. Dwu braci Kotlaków (Janek i Jędrak), dwu braci Jętów (Antek i Gustaw), Heniek Klipski, Ludwik Kupść i Michał Lampe.

Pewnego dnia Jędrak Kotlak przyniósł wielki afisz, na którym było napisane, że za tydzień rozpocznie się wielki spływ do morza.

— No i cóż nas to może obchodzić, kiedy jutro już zaczyna się rok szkolny? — zapytał wolno i lekceważąco wielki dryblas Lampe.

— Co ma rok szkolny do spływu? — przerwał drugi bliźniak.

— No pewnie — ciągnął za brata Jędrak. — Spływ jest raz i trzeba żeby i o nas co nieco wiedzieli tam, nad tem morzem polskiem. Czy nie w naszym właśnie miasteczku zawiązał się pierwszy klub klipy i palanta? Czy nie w naszym właśnie miasteczku znajduje się wspaniały kajak kanadyjski Jętów

i dwa kajaki Lampego i Kupścia? Czy nie mamy podstawy do tego, aby pojechać nad to tam lazurowe morze i powiedzieć...

— ...że nas wyrzucili ze szkoły... — dokończył zgryźliwie Lampe.

— Właśnie, że nie wydalą nas ze szkoły, a raczej mogą nas pochwalić, tylko musi być tajemnica. Ty, Lampe, — powiedział Jędrak — nie wykręcaj się, bo to jest największa przygoda, jaką możemy wogóle przeżyć. Jedziesz z nami, czy nie jedziesz?

— Wiadomo, że jadę — powiedział ponuro Lampe i uśmiechnął się. Obiecał dostarczyć kajak i zabrać się w nim z Kupściem oraz zaopatrzyć całe towarzystwo w konfitury. Pani Lampe bowiem słynna była na cały Chrzyplin z konfitur. Jętowie dawali chleb, ojciec ich miał piekarnię, jedyną w tym grodzie. Kotlakowie zaś mieli zaopatrzyć wycieczkę w baleron i kilka pęt suszonej kielbasy. Wujek ich miał wiel-

ką wędliniarnię, w której co tydzień były świeże wędliny. Heniek Klipski obiecał zlikwidować swoją skarbonkę i wyłożyć wszystko na podróż i na te wydatki, jakie się okażą potrzebne poza jedzeniem.

— No i co, pojedziemy tak bez żadnych flag? — zapytał Lampe, pocierając kolano.

— Zatkniemy na tyce czerwoną czuprynę Jędrka — oświadczył poważnie Henio Klipski, i to go zgubiło. Musiał przyrzec, że wykombinuje od matki krawcowej kilka kawałków zielonej materji. Bowiem herb miasta Chrzypina, wyobrażający bożą krówkę przy wzlocie, występował na zielonem tle.

— Dobrze, ale kto będzie kapitanem? Bo przecież nie może taka wielka flota jechać bez kapitana... — wbił świeka w głowy całej paczki znowu ten sam mądry Lampe. Zrobiła się taka cisza, że chyba było słycać jak rośnie ruda czupryna Jędrka. Nikt się nie odzywał i wtedy niepozorny Kupść zrobił wielkie oczy i zapytał:

— Kto pobił rekord w klipie na ten rok?

— Lampe... — przyznał Janek Kotlak.

— Kto wygrał wielkie zawody w hokeja stołowego guzikami?

— Lampe... — dodał pośepnie Janek.

— Kto jest najstarszy w całej klasie?

— Lampe jest więc naszym kapitanem — zakończył Kupść i nikt się nie sprzeciwił, a Lampe tak się wzruszył, że z własnej woli powiedział, że zabierze busolę, barometr i żagiel od kajaka ojca.

Za dwa dni, akurat w niedzielę, miała o świcie wyruszyć wyprawa. I wtedy kapitan zabrał głos.

— Wtedy wyjedziemy, kiedy ja powiem. Nigdy o świcie, bo wtedy nim dojedziemy do Palcowa, już wszyscy będą wiedzieli, że coś jest z nami niewporządku. Wyjedziemy na noc i nocą dopłyniemy do Torunia i stamtąd już Wisłą do morza, jak strzelił...

— Racja — zgodził się wspaniałomyślnie Jęta starszy, Gustaw, myśląc sobie, że wcale niezły jest ten kapitan.

Był pogodny wieczór wrześnieowy, kiedy nasi bohaterscy żeglarze wymykali się ze swego rodzinnego miasteczka.

Na kanadyjskim kajaku stał wielki kapitan Lampe, trzymając w ręce banderę z napisem: „Chrzypin, gimnazjum Zygmunta Augusta, do morza”. W wielkiej ciszy podniósł banderę do góry i szepnął:

— Kotwice do góry!

— Jakie znowu kotwice? — oburzył się Jędredek.

— Zawsze się tak mówi, kiedy okręty mają ruszać.

— No, niech będzie... — i cała flotylla ruszyła w wielką podróż do polskiego morza. Jednostajnie pluskała woda, oblewająca srebrnym strumykiem skrzydła wiosł.

Płynęli już bodaj ze trzy kwadransy, kiedy nagle, gdy zbliżali się do Palcowa, spostrzegli na pomoście wielką ilość młodzieży szkolnej i ponadto rodziców dzielnych podróżników. Konsternacja padła na całą wyprawę. Kapitan zdębiał, co spowodowało zachwianie się kanadyjskiego kajaka i wtedy padł wielki wrzask na całą eskapadę.

— Niech żyją nasi wielcy podróżnicy!!! — darł się blady Antek Górski, wielki przyjaciel Lampego.

— W tej chwili do domu! — wołali rodzice podróżników, a nadto wujek Kotlaków, człowiek niegrzeczny i nie delikatny, wołał coś na temat baleronu



i kieszki pasztetowej. Hałas był wielki i zginął w ogólnej wrzawie rozkaz kapitana:

— Do burt, do dział, w lewo kurs!

Widać było, że kapitan chciał wyminąć przeszkodę lewym bokiem, ale mu w tem przeszkodziła organizacja zasadzki. Wszerz rzeki postawiono bowiem łódkę i ona, wolno się kołysząc, całkiem zagroziła przepływ. Taka to była wątła rzeczka, ta Chrypka.

— Niech żyje kapitan Lampe!!! — darł się niezmordowany Antek Górski.

I cała wyprawa musiała lądować już w Palcowie, przebywszy niecałe trzy kilometry. Widać było, że pozostałe pięćset kilometrów odbędą chyba innym razem.

Jak tam było i co, trudno opowiedzieć, ale jedno jest pewne, że historia jest stara, zgubiła bowiem wszystkich zarozumiałość. Każdy uczestnik wypra-

wy w tajemnicy przed innymi, tak, że nawet bracia nie wiedzieli jeden o drugim, opowiedział dwóm najbardziej sobie oddanym przyjaciołom, że jadą w wielkiej tajemnicy do polskiego morza. Ci zaś przyjaciele w takiej samej tajemnicy puścili wieść między całe gimnazjum i postanowili czekać w pobliskim Palcowie na przepływającą flotyllę, aby jej urządzić owację.

Kapitan Lampe powiedział tylko jednej osobie o swojej wyprawie: swojej siostrzyczce, a zastał na pomoście całą pierwszą klasę pensji im. Elizy Orzeszkowej.

Kapitulacja miała przebieg dosyć spokojny. Bohaterzy powędrowali do domów.

I odtąd stali się jeszcze więcej sławni w niewielkim miasteczku Chrzypinie przez tę swoją przygodę na samym początku roku szkolnego. *J. Goetling*

155 CO WY O TEM 55555 MYSŁICIE?

By uniknąć złych stopni,
jest niejeden sposób.
Oto rady kilku
doświadczonych osób.

Franek mówi: — Trzeba
przed wejściem do szkoły
przykleić do buta
kawałek smoly.

Dobry ma być sposób,
który Stach wymienia:
dotknąć lewą nogą
prawego ramienia.

Ale zdaje mi się,
że najbardziej trafną
usłyszałem radę,
gdym zapytał Kachnę.

Kachna bowiem twierdzi,
że nieźle pomaga...
uczenie się lekcyj,
pilność i uwaga!

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

INNE CZASY

Cofnijmy się myślą wstecz o 150 lat.
Mamy tedy rok Pański 1785.

Przenieśmy się myślą na ulicę Długa
w Warszawie, koło dzisiejszego kościoła
garnizonowego, który wówczas był ko-
ściołem księży Pijarów. Duża kamienica,
przed którą stajemy, to Kolegium, czyli
szkoła księży Pijarów. Wchodzimy do
środka. Szkoła ogromna, największa
w ówczesnej Warszawie. Liczy do pół ty-
siąca chłopców. Gwałt, harmider. Jak
w każdej szkole. To się nie zmieniło.
I nigdy się nie zmieni.

Wejźdźmy do którejś z klas. Naprzy-
kład do pierwszej. Ach, jak ciasno, jaki
zaduch! Klasa duża, to prawda, ale iluż
tych chłopców? Zaglądamy do dzienni-
ka. Lista uczniów biegnie przez parę
stron, bo obejmuje aż 111 nazwisk. Stu
jedenastu chłopców. Mocny Boże! A je-
szcze ksiądz nauczyciel mówi, że to nie
największa klasa, że bywają lata kiedy
do półtorej setki dochodzi. Jak tu sobie

poradzić z tyloma chłopakami w takiej
ciasnocie? Nie dla wszystkich nawet są
siedzące miejsca, choć po dziewięciu sie-
dzą w jednej długiej ławie. Kilku stoi.
Może im koledzy później wolnego miej-
sca na ławie ustąpią, a sami staną.

Jaka mieszanina wieku! Są pięciolet-
nie pędraki i draby pod wąsem po 20
lat. W jednej klasie. „Koledzy”. Ładnie
wygląda to koleżeństwo. Wiadomo, jak
okrutnym potrafi być starszy, mocniej-
szy kolega, a tu przewaga była tak wiel-
ka. 5 i 20 lat. A 20 lat, to jeszcze nie naj-
wyższy wiek ucznia. W szóstej (najwyż-
szej) klasie połowa uczniów ma wyżej
20 lat, trzecia część więcej niż 25 lat,
a jest dwóch takich ananasów, którzy li-
czą sobie po 29 lat.. Wyraźnie dwadzie-
ścia dziewięć lat. Ciekawa rzecz, czy
ksiądz profesor stawia ich czasem do ką-
ta, albo daje klapsa tym 29 letnim chło-
paczkom.

Chodźmy do innej klasy. Czwarta.

Harmider tu mniejszy, bo uczniów o wiele mniej, tylko 38. Im wyższa klasa, tem jest ich mniej, bo moc chłopców odpada od szkoły przed jej ukończeniem. Do szóstej zaledwie kilkunastu dotrze, czasem i do dziesięciu nie dociągną.

Trafiamy na początek lekcji. Książd profesor czyta listę uczniów. Lista dzieli się na dwie części. W pierwszej zapisani są synowie dygnitarzy, w drugiej zwykłe miejskie, czy wiejskie szaraczki.

Czyta tedy książd:

Antoni Sołtyk, kasztelanic wisli.

Jan Tarnowski, hrabia.

Ignacy Stadnicki, starościc ostrzeszowski.

Józef Dwernicki, starościc baliński.

Kazimierz Downarowicz, chorążyc rzeczycy i t. d.

Na 33 uczniów, utytułowanych jest 17. Tak samo mniejwięcej jest w innych klasach.

Psst! Zaczyna się lekcja. Lekcja przyrody. Odniedawna dopiero wprowadzono wykład ten do programu szkoły; niejeden się dziwi, albo i gorszy tem, że się dzieciom w głowie mąci takimi nowomodnymi naukami, z których pożytku nijkiego niema, tylko śmiech dla ludzi.

Dziś trudno sobie wyobrazić szkoły bez nauki przyrody, ale wtedy przyrodnik miał w szkole ciężkie życie.

W piątej klasie fizyka. Popatrzmy, jak książd zanotował w dzienniku o czym była na lekcji mowa.

„Hidraulika. Wyłożyło się jak się po-

winna brać ciała płynnego prędkość, jak wiele z naczynia iakiego w pewnym czasie wody wypływa, albo iaka owego naczynia dziura, wysokość, iaki początek fontann biejących w górę. Traktowało się o machinach społecznosci ludzkiej użyteczniejszych, osobliwie o Pompach, Sikawkach do zalewania ognia, młynach wodnych, tartakach...”

Z piątą klasą sąsiaduje jakaś mała, ciemnowa klitka. Co to? Et, lepiej nie zaglądać. To areszt, czyli inaczej koza, w której siedziało się czasem i po kilka godzin zrzędu, oplakując gorzko zbytki, za które się tę kożę dostało. Czasem kożę, a czasem różgi, czyli plagi.

„Kozodój” krótko pamiętał swą kożę po wyjściu, a obity swe cięgi, ale szkoła pamiętała dobrze, bo zapisywała każdą karę do grubej księgi, tak że i dziś jeszcze można w niej wyczytać, że ten a ten uczeń „za rzucanie kielbasą po klasie” dostał trzy plagi, a inny „za pisanie wierszy zwanych poczta i niespokojność w czasie lekcyi” aż osiem. Jest tam i rznięcie ławek, i wiercenie w nich dziur świderkiem, i „robienie myszek i puszczenie ich po sali” i „granie w szpilki w czasie lekcyj” i t. p., rzeczy, które zresztą i dzisiejsi chłopcy doskonale potrafią.

Tylko, że dziś już kozy nie odsiadują, plag nie biorą i po stu w jednej sali nie siedzą.

Inne czasy.

K. Konarski



W biejącym tygodniu mili radjostuchacze usłyszą następujące audycje:

We wtorek, 17 września od g. 12 m. 15 do g. 12.30 opowiadanie z piosenkami p. t.: „W dziadusiowym ogrodzie”, które napisał dla młodszych dzieci p. Benedykt Hertz. Dowiecie się, jak dziadus na jesieni zbiera plony w swoim sadzie.

W środę 18.IX od g. 16.00 do g. 16

m. 20 nastawcie swoje odbiorniki na fale poznańską, gdyż będzie audycja dla starszych dzieci p. t. „Święto chryzantem w Japonji” z cyklu: „Wędrowki dookoła globu”. Uslyszycie oryginalne melodie japońskie i trochę szczegółów o samym kraju.

W czwartek 19.IX od g. 16.00 do g. 16 m. 15 Stary Pan Doktor opowie młodym dzieciom, jak ich rówieśnicy z Tur-

cji uczą się i pracują w szkole. Ta audycja ma tytuł: „W tureckiej szkole”.

Piątkowy program 20.IX będzie więcej urozmaicony.

Od g. 12 m. 15 do g. 12.40 starsze dzieci usłyszą ciekawe słuchowisko p. t. „Na pastwisku” pióra p. Jana Grabowskiego, a od g. 16 m. 45 do g. 17.00 pani Plewińska - Smidowiczowa powie interesującą pogadankę p. t.: „Zwierzęta, których się nie lubi”.

Kto z Was nie wie, jak pożyteczne są jaszczurki, ropuszki i jeszcze inne zwierzątka, niechaj posłucha tego opowiadania.

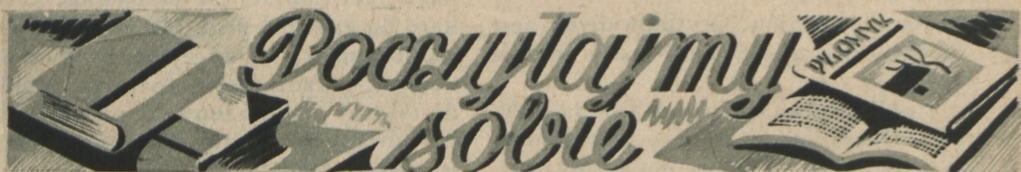
W sobotę 21.IX od g. 18.00 do g. 18 m. 30 Teatr Wyobraźni nada dla dzieci

starszych słuchowisko p. t. „Antena w karczmie Rzym”. Bardzo ciekawa audycja, w której lucyfer chce zaimponować zdaleka przybyłym harcerzom różnemi dziwami i czarami. Ale nie myślcie, że uda mu się to zrobić. — O nie! on sam pozna nową, niezwykle cudowną rzecz... a jaką? to dowiecie się za pośrednictwem Radja.

W niedzielę 22.IX od g. 16.00 do g. 16.15 djalog p. t.: „Jak się Stefenson uczył”.

I w poniedziałek 23.IX od g. 18 m. 30 do g. 18.40 skrzyneczka radjowa odpowie na listy swoich miłych korespondentów.

W. I.



Kiedy się chodzi do szkoły, to się wydaje, że tam wszystko zupełnie zwyczajne. Jakby ktoś zapytał, to niema poprostu co opowiadać. Nic się niby ciekawego nie dzieje.

Dopiero kiedy się zaczyna chodzić do innej szkoły, albo się zupełnie chodzić przestaje — przypomina się wszystko, jak żywe: klasa, nauka, dzieci, nauczyciele. I wtedy dopiero, kiedy już wszystko przepadło, zaczyna się do szkoły tęsknić i szkołę kochać. A tak, to się ją tylko lubi. Są nawet i tacy, co szkoły nie lubią...

Zawsze jednak po wakacjach wraca się do szkoły z ochotą. Jeszcze się nauka nie rozpoczęła na dobre i nie zdążyła się znudzić. Wszystko jest ciekawe, jak nowe, jak nie to samo...

Bo każda szkoła — to skarbnica. Każdy dzień przynosi tyle niespodzianek, takie zapasy humoru i zmartwień, że o każdej lekcji możnaby książkę napisać. Tylko trzeba umieć.

A jak już kto umie ładną, żywą, prawdziwą książkę o szkole napisać, to niema nad nią nic przyjemniejszego do czytania. I wszystko jedno, o jakiej szkole mowa, wszystko jedno, kiedy

ktos się w niej uczył. Byle tylko była żywa, prawdziwa szkoła.

Jedną taką książkę napisał włoski pisarz, E. Amicis. Książka nosi tytuł „Serce”. Przetłumaczona została na wszystkie języki kuli ziemskiej dlatego, że zakochały się w niej dzieci wszystkich krajów.

Drugą taką książkę, również dawno temu, napisał Wiktor Gomułicki: „Wspomnienia niebieskiego mundurka”. Pisać o niej nie można — bo trzeba całą książkę powtarzać od deski do deski. Trzeba ją chyba przeczytać, a napewno przeczytać się niejedną raz.

Najweselsze jednak, najmilsze są inne wspomnienia szkolne: „Bezgrzeszne lata” Kornela Makuszyńskiego.

A najmłodsze, niedawno wydane powieści Zygmunta Nowakowskiego o przeżyciach z lat szkolnych: „Przylądek Dobrej Nadziei” i „Rubikon” — dopełniają listy książek, jakich nie trzeba chwalić. Gdyby ktoś wylądował na bezludnej wyspie i miał przy sobie tylko te pięć książek, napewno przez całe życie nie nudziłby się. Nawet wtedy, gdyby się tych książek nauczył napamięć.

Ed. Sz.



Polscy Robinsonowie

— Mruczusiu, za dobre masz przekonanie o ich sprycie! Nie znajdą nas! „Bum, bum, bum! na basie. Dobry chlebuś...”.

— Przecież ta piosenka nie ma sensu — leniwie bąknął Wacek. — Znajdź już sobie co innego.

— Jakto nie ma sensu? — zdziwił się Julek — to jest ludowa piosenka, rozumiesz? Piosenka et-no-graficzna! A zresztą bardzo przyjemnie tak buceć: „bum, bum, bum! na basie”.

— Idą! — pisnął naraz „Breloczek” z wierzchołka sosny i zaczął się zsuwać na dół.

— Nura! — zakomenderował Mietek i Wygwizdów zagrzebał się w swoich posłaniach.

Koło namiotu słychać było liczne kroki i zmieszane głosy. Ktoś mówił:

— A ja jestem pewien, że oni byli w tej stodole, gdzie było tyle siana.

— No, to czegoś nie szukał?

— Tak! Wszyscy śpieszyliście się, jak oparzeni..

— A może już są w swojej budzie?

Kilka głów zajrzało do środka, ktoś stuknął kijem w plecaki.

— Nie, niema ich!

Teraz słychać było na placu głos drużynowego:

— No, co? Nikt nie znalazł?

— Nie! Nie!

— Ślady były, ale...

— Tak, ślady były. Szły do morza. Musieli iść wodą.

Drużynowy powiedział:

— W takim razie damy sygnał na zbiórkę. Niech „Wygwizdów” pokaże się nam i powie gdzie się schował.

Zagrała trąbka.

W namiocie czwórki zrobił się mały ruch, ale Julek powstrzymał kolegów i zaszeptał:

— Nie wychodźmy, tylko połóżmy się na posłaniach, na wierzchu i zaśpiewajmy: „bum, bum, bum!”.

— Kiedy naprawdę ta piosenka... — zaczął Wacek.

— Słuchaj-no Wałku! — obruszył się Julek. — Teraz nie czas na spory. Zaśpiewamy „bum, bum”, prawda Mruczysławku?

— Można — zgodził się Mietek.

I naraz do uszów zgromadzonej drużyny dobiegła piosenka śpiewana przez trzy grubsze i jeden cieńszy głos:

Bum, bum, bum! na basie.

Dobry chlebuś na kwasie;

Jeszcze lepszy na wodzie,

Bo po brzuchu nie bodzie!

— Co to?

— To oni?

— Gdzież oni są?

Zdziwione głosy rozlegały się ze wszystkich stron i wkrótce cała dru-



żyna znalazła się przed namiotem „Wygwizdowa”.

Szanowna czwórka leżała spokojnie na posłaniach i śpiewała swoje „bum, bum, bum!”

— Gdzież wy byliście? — pytali ich ze wszystkich stron.

— Tutaj.

— Niemożliwe! Jakto, przez cały czas? Przecież patrzyliśmy! A morzem nie szliście? Przecież były ślady!

Drużynowy, wysłuchawszy sprawozdania Mietka, powiedział:

— No, no! No, no!

A potem dodał:

— Wszyscy czterej dostaniecie po cztery kreski. A jeżeli Staś będzie się tak dzielnie spisywał, to może przyjmujemy go do harcerstwa i damy mu trzeci stopień.

Tego wieczoru radomiacy nie przekomarzali się z Wygwizdowem. Cwórka leżała jak zwykle, wystawiając głowy z namiotu i rozmawiała cicho. O parę kroków szumiało tajemnicze morze.

— Jak to dobrze, że jesteście tutaj, prawda? — szepnął Julek, za-

dzierając głowę do gwiazd. — Tam, w obozie taki hałas, że nawet nie słychać jak morze szumi.

Mietek oparł głowę na rękach i odezwał się:

— Zawsze ciekawiej samemu, albo w małej gromadce. I w lesie i nad morzem i w polu... Ja byłem „samotnym harcerzem”...

— Tak? — zerwał się Julek. — Cóż ty Mrucuziu milczałeś do tej pory? Opowiadaj!

— Cóż tu opowiadać? Musiałem wyjechać z Wilna, żeby ojcu pomagać, więc uczyłem się sam w domu, albo nad rzeką, bo ojciec jest rybakiem, no i robiłem różne ćwiczenia harcerskie... A potem jeździłem do Wilna, do drużyny i tam zdawałem próby...

— No, dobrze! Ale jak... jak to było? — nalegał Julek.

— Gdzie, na wsi? No, cóż? Pływałem, jeździłem łódką, pomagałem ojcu sieci i wędki zakładać, w ogrodzie się trochę grzebałem, mapę okolicy zrobiłem no i przedewszystkiem — wycieczki...

— Sam?

— Sam. Wezmę, bywało, ze sobą kociołek, kaszy trochę, wędkę, toporek i pooszedł! Zrobię szałas gdzie w lesie, ogieniek mały rozpalę, ryby gotuję i słucham, jak las gada... A las gada, szumi!... A tu lis przemknie, albo zając, albo wiewiórki się gonią... Ech, kto nie spędził nocy sam, w lesie, albo nad wodą — ten nie wie, co to jest harcerstwo!

Zapadła cisza i słychać było jak morze szumi poważnie.

Julek, patrząc ciągle na gwiazdy, zaszeptał:

— Wiecie, postanowiłem sobie, że muszę mieć jaką prawdziwą przygodę... Wybiorę się w jaką podróż...

— Ja będę marynarzem — powiedział Mietek.

— I ja także — odważył się wmieścić w rozmowę „Brelotek”.

— A ja będę kupcem i będę miał okręt handlowy — powiedział Wacek.

— A ty czym będziesz? — zapytał Mietek Julka.

— Ja?... Hm... ja — Julek był trochę zmieszany — ja będę poetą...

— Pi, pi! — bąknął Wacek. — A potrafisz pisać wiersze?

— Mam przecież cały bruljon wierszy! Będę miał przygody, a potem opiszę wszystko...

— Przygód nie opisuje się wierszem — upierał się Wacek.

— Taak? Proszę, jaki znawca! A „Beniowski” Słowackiego to może nie wierszem pisane?

Wacek nic nie odpowiedział na to, ale po chwili zwrócił się do Julka:

— No, to przeczytaj jaki swój wiersz.

— Mogę. Zaraz się przekonasz. Tylko się nie śmiejcie.

Julek wydobyl ze swego plecaka bruljon i zaczął czytać:

„Kiedy złote błyszczą gwiazdy,
Ja ochotę mam do jazdy.
Jechałbym wielkim okrętem
Z żaglem od wiatru wydętym.
I przyjechałbym w te strony
Gdzie wieją dzikie cyklony,
Gdzie na mapie jest miejsce białe,
Gdzie są dzikie puszcze całe,
Gdzie są niedostępne góry...



— A to wszystko razem bzdury! — skończył naraz Wacek.

Julek zamknął z trzaskiem bruljon i powiedział:

— To się nazywa u ciebie dotrzymaniem słowa? Obiecałeś, że nie będziesz się śmiał!...

— Wcale nie obiecywałem. Zresztą nie śmiałem się, tylko ci pomagałem układać wiersz.

— Głupi jesteś!

— Tsss! — szepnął Mietek. — Jak wam nie wstyd? Cicho tak, poważnie wszędzie, a wy tu... kłótnie...

— Bo czego on!... — zaczął Julek, ale spojrzał na gwiazdy i zamilkł.

— Sztama! — powiedział cicho Wacek, wyciągając rękę i Wygwizdów powrócił do zgody.

— Breloczek śpi — szepnął po chwili Mietek — trzeba go odwrócić, bo głowę ma niżej... A i nam czas spać.

Kiedy mieszkańcy Wygwizdowa układali się już do snu, Mietek mrucnął:

— Jutro pójdziecie ze mną do komendanta obozu.

— Po co?

— Zobaczycie.

ROZDZIAŁ II

w którym Wygwizdów wypływa na morze.

Na drugi dzień Wygwizdów stanął do raportu.

W imieniu czwórki przemawiał Mietek - Mruczysław, który prosił, żeby komendant zwalniał ich codzień na dwie godziny.

— Pocóż to? — spytał komendant.

— Niech to tymczasem będzie tajemnicą, druhu komendancie! — powiedział Mietek. A komendant pomyślał chwilę i rzekł:

— Dobrze. Ufam wam, druhu Mietku. Polegam na was, że nic złego się nie stanie.

— Biorę na siebie odpowiedzialność! — powiedział Mietek poważnie.

Zaraz po obiedzie czwórka ruszyła w stronę wsi.

Mietek podszedł do starego rybaka rozwieszającego sieci na kołkach i powiedział krótko:

— Pomożemy wam.

Nim stary rybak zdążył coś odpowiedzieć, czwórka już zabrała się do roboty. Potem Mietek pokazał towarzyszom jak się naprawia sieci i zabrano się do tego z zapałem.

Julek mruczał:

— Najgorzej nie lubię tego, że ten Mruczuś nic nie wygada co ma na sercu... Ale niech go tam! Pomyślał ma napoleońskie, trzeba mu to przyznać!

Wacek sapał trochę, co robił zawsze, kiedy pracował. A Breloczek zwijał się nie gorzej od „starej” trójki.

Rybak kręcił głową, patrząc na nich i coś sobie obmyślał. Wreszcie zapytał ich czyby czego nie zjedli.

— Bóg zapłać! — powiedział Mietek. — Mamy swoje jedzenie, ale czy nie przewieźlibyście nas łódką? Chcemy się nauczyć kierować żaglówką.

— Aaa! Mamy raka na widelcu! — zawołał Julek. — No, czy ja nie mam racji, że Mruczuś jest Geniusz?

Rybak nabił swoją starą fajkę i poszedł przodem, kiwając się na boki jak kaczka. Za nim szła „stara” trój-

ka, a na końcu Breloczek, który starał się kiwać tak samo jak rybak.

Do połowy wyciągnięta z wody leżała łódź, przechylona trochę na bok, jak ryba. Rybak zepchnął ją na wodę, wszedł do niej i zaczął podciągać żagiel.

— Uważajmy! — powiedział Mie-

tek. — Żebyśmy wiedzieli jak co się robi.

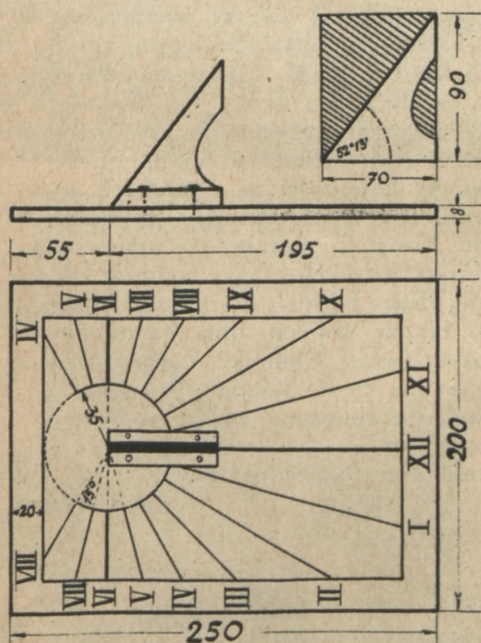
Kiedy cały Wygwizdów usadowił się w łodzi, rybak wziął w rękę sznur od żagla i nastawił go tak, że żagiel wydał się zlekka.

C. d. n.

Jerzy Ostrowski



Chcąc zbudować zegar słoneczny musimy zachować wielką dokładność w pracy, inaczej zegar wskaże nam mylne go-

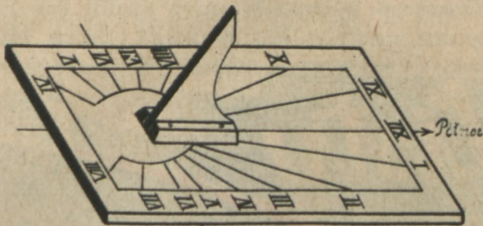


dziny. Jako materiał potrzebne nam będą: deska prostokątna, równa, 250×200 mm, grubość 8 — 10 mm (może być klejonka), pozatem cienka deseczka trójkątna na wskazówkę zegara grubości 5 — 6 mm i dwie beleczki do przytwierdzenia wskazówki. Trójkątna wskazówka jest uformowana pod pewnym kątem. Kąt ten odpowiada stopniom szerokości

geograficznej miejscowości, gdzie budujemy zegar słoneczny i tak np. w Warszawie szerokość geograficzna wynosi 52°13'5", więc kąt wskazówki będzie wynosił tyle stopni. Każdy z Was popatrzy na mapę, sprawdzi szerokość geograficzną i wykona odpowiednią wskazówkę.

A teraz do wykonania podziałki godzinowej.

Według rysunku wykreślimy wpierw koło o promieniu 35 mm. Od środka tego koła wychodzi trójkątna wskazówka zegara, umocowana pomiędzy dwiema beleczkami. Na przedłużeniu linii wskazówki oznaczamy godzinę 12 w południe, po stronie prawej i lewej pod kątem prostym godzinę 6 rano i 6 wieczór. Ponieważ doba ma 24 godziny przeto okrąg koła dzielimy na 24 części. Dzielimy więc 360° przez 24 — 15°. Odstęp



między godzinami wyniesie 15°. Dalsze godziny wykreślamy już przy pomocy kątomierza, licząc po 15° na godzinę. Godzin nocnych nie oznaczamy. Zegar ustawiamy według rysunku, wskazówką skierowaną ku północy. Godziny przed-

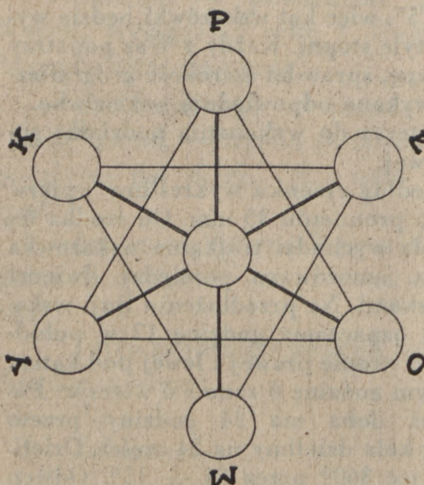
południowe znajdują się po stronie zachodniej (światło słońca ze wschodu daje cień po stronie przeciwnej) godziny południowe będą po stronie wschodniej. Pamiętajmy jeszcze o tem, że zegar ustawiamy w kierunku północno - południo-

wym nie magnetycznym a słonecznym. (również o parę stopni). Wszystkie części zegara zapoliturować, linje godzin naciąć nożykiem lub dłotem (rowki) i zapuścić farbą, to samo zrobić z godzinami.

Ign. Huber

G R A

Na kartonie narysujcie koło o promieniu 8 cm. Następnie obwód tego koła podzielcie na 6 równych części. Zrobicie to odkładając cyrkiem 6 promieni na obwodzie. W środku koła i w każdym punkcie podziału narysujcie małe kółka o średnicy 3 cm i połączcie je linjami prostymi, jak wskazuje rysunek obok. Kółka leżące na obwodzie oznaczcie ko-



lejno literami P, Ł, O, M, Y, K. W kółku środkowym nie piszemy nic. Teraz, po usunięciu gumą zbytecznych kresek (części obwodu dużego koła) możecie pokredkować kółka i linje, aby wystąpiły wyraźniej. Można również tablicę do gry ozdobić, jeżeli chcecie, aby ładnie wyglądała.

Do gry potrzebne są luźne kążki wielkości kółek w liczbie 6. Wycinamy więc je z grubszej tektury, kredkujemy inną barwą niż kółka. Następnie kolejno na każdym kążku oznaczamy litery P, Ł, O, M, Y, K.

Teraz przystępujemy do gry. Ustawiamy kążki ruchome w zupełnie przypadkowej kolejności na 6 kółkach zewnętrznych, pozostawiając środkowe wolne. Następnie staramy się przesunąć po linjach prostych kążki ruchome tak, aby wypisane na nich litery znalazły się obok takich samych liter na tablicy i ułożyły wyraz „Płomyk”. Posługujemy się przytem często kółkiem środkowym do którego usuwamy kążki przeszkadzające przy przesuwaniu.

Jest to gra dla jednej osoby.

K. Morawski



Uczennice i uczniów klasy VI z Starej Wsi serdecznie zachęcam na początku roku do opracowania gazetki szkolnej.

„Uda się” napewno, jeżeli wspólnie pracować będziecie. Tematów macie wiele. Ogłoście konkurs w szkole na najlep-

sze wypracowania p. t. „Moje wakacje”, poszukajcie zeszlórocznych sprawozdań z działalności różnych kółek i organizacji szkolnych, a jeżeli zaprojektujecie nowe prace, to i o nich napiszcie w swoim piśmku.

Ciekawą gazetkę pod nazwą „Głos szkolny” mają dzieci w Janowie Podlaskim, może napiszecie do nich, one chętnie udzielą Wam rad i wskazówek.

Zuchów z Krakowa mile pozdrawiam i pochwalam ich postanowienie, a wiecie jakie? Chcą posyłać co tydzień jeden numer Płomyka i jeden Płomyczka biednym dzieciom szkolnym.

Prawda, że to bardzo ładnie z ich strony?

Płomyczkiem ucieszycie dzieci w szkole powszechnej w Milewiczach na

Polesiu, a Płomyk wyślijcie pod adresem: Szkoła powszechna w Chorzelach, woj. krakowskie.

Koniecznienie postarajcie się nawiązać korespondencję z temi dziećmi.

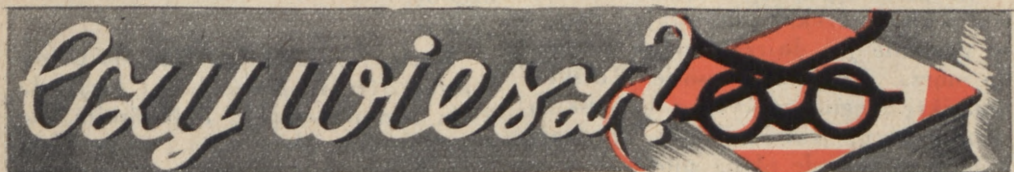
Ponieważ Czytelnicy z Poznania, Sosnowca i Chrzanowa proszą mnie o adresy szkół polskich na obczyźnie, chętnie umieszczam następujące:

Francja. — Redakcja dwutygodnika „Polskie Pachole” — 24, rue François de Badts La Madeleine, Nord, France.

Maison Polonaise, Levin, rue Ampère — Pas de Calais, France.

Belgja. — L'école polonaise K. O. K. S., Winterslat, Belgique.

Ameryka Południowa. — Konsulat Polski, Panama Lima, Peru via New York, Avenida 259, Baraneco.



Ogromna liczba czytelników „Płomyka” brała w zeszłym roku udział w konkursie „Lotu”. Zwycięzcy otrzymali nagrody w postaci przelotów nad Polską, lotów nad miastami i książek. Wynik

konkursu i spis nagrodzonych podawaliśmy już w „Płomyku”. Teraz zamieszczamy zdjęcie, na którym widzicie jednego z laureatów konkursu, który po drodze ze Lwowa do Gdyni zatrzymał się na lotnisku w Warszawie.



W Polsce jest dzieci w wieku obowiązku szkolnego ponad 5 milionów. Z tej liczby tylko 4,5 milj. uczęszcza do szkół. Przeszło pół miliona dzieci nie może się uczyć z powodu braku szkół.

Zagranicą wypróbowano nowy sposób uczenia geografji. Ładuje się klasę do dużego samolotu. Dzieci oglądają krajobraz dosłownie z lotu ptaka i porównując go z mapą uczą się łatwo jej odczytywania. Krajobraz widziany prostopadłe z góry jest bardzo do mapy podobny, bo przecie mapa to nie co innego, jak właśnie pomniejszony i uproszczony obraz terenu, odrzutowany na poziomą powierzchnię.

Podróże bardzo kształcą, to też kilka szkół wprowadziło pociągi i okręty szkolne. Zamiast zwykłych, klasowych lekcji, w odpowiednich miejscach dzieci wysiadają i oglądają góry i doliny, jeziora, rzeki i wodospady, życie pól, lasów i morza, miasta i fabryki. Zgodzicie się, że to bardzo przyjemny sposób nauki. Narazie próbują go w Ameryce. Kiedyś w przyszłości może i u nas zostanie wprowadzony.

Nieco więcej niż czwarta część ludności Polski mieszka w miastach.

Wrona gnieździ się tylko po rzekę Łabę. Na zachód od tej rzeki już się jej nie spotyka. Ciekawe, bo przecież przelot nad rzeką nie stanowi dla wrony trudności.

Węgorze lęgną się w morzu. Młode wpływają do rzek, tu dorastają i dopiero zupełnie już dojrzałe znów wracają do morza. Przeciwnie łososie. Te składają ikrę i lęgną się wysoko, w górskich strumieniach, zaś młodość spędzają w morzu. Dorosłe płyną znowu do górskich strumieni, tam, gdzie się urodziły. Z niebывałą wytrzymałością płyną pod prąd i z uporem przeskakują wodospady, które w młodości z łatwością przebyły, wędrując z prądem wody ku morzu.

Bakelit, sztuczną żywicę, z której wyrabia się obecnie dużo różnych przed-

miotów, jak oprawki urządzeń elektrycznych, podstawki, kubki i t. d., otrzymuje się z połączenia chemicznego fenolu (kwas karbolowy) z formaliną. Pierwszy jest produktem suchej destylacji węgla kamiennego, a drugi — suchej destylacji drzewa.

Linje faliste i kratka, tak często występujące jako motyw ozdoby na naczyniach glinianych są śladem dawnej techniki wyrobu tych naczyń. Zanim nauczo no się lepić garnki na kole garncarskiem, wylepiano gliną plecione z prętów kosze i to wypalano w ogniu.

Na sporządzonym naczyniu zostawał odcisk po spalonym koszu. Choć później umiano już robić naczynia gliniane bez pomocy kosza, rysowano lub malowano na nich kreski symbolizujące kosz jako ozdobę.

Bociany odlatują na zimę do południowej Afryki. Nasze boćki lecą szlakiem nad półwyspem Bałkańskim, cieśniną Bosfor, Małą Azją. Koło Suezu (znanego z kanału łączącego morze Śródziemne z m. Czerwonem) dostają się do Egiptu i lecą dalej nad rzeką Nilem i wielkimi jeziorami.

Bociany z zachodnich Niemiec i z Francji lecą nad Hiszpanją, cieśniną Gibraltarską, pustynią Saharą i puszcza Konga, by spotkać się z naszymi w okolicy przylądka Dobrej Nadzieji.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



ZAGADKA

Wyleciały ptaki z chmury,
zniknęły bez śladu,
choć nie chciały iść do góry,
a zleciały nadół.

ZAGADKA

Znasz tego natręta,
co depce po piętach?
Czy człek stoi, czy ucieka,
ciągle trzyma się człowieka.

ZAGADKA

W kominie mieszka
czarny ptak.
Weź go do ręki —
da ci znak.

UKŁADANKA

	K	Y	M	O

W podane kratki wpisać poziomo (bez 1-go rzędu, bo już gotowy) 7 wyrazów. Litery, czytane na obwodzie w kierunku strzałek, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

- 2 — podstawa, na której stoi pomnik;
- 3 — drzewo południowe, na którym rosną kokosy (wspak);
- 4 — sprzęt szkolny;

- 5 — armata w drugim przyp. l. mn.;
- 6 — drzewa iglaste;
- 7 — zabronienie czegoś (wyraz pisany jednakowo z obu stron);
- 8 — razem z ostatnią literą 7-go wyrazu daje nazwę placka, znanego z przysłowia, że „bez pracy

SZARADA

Pierwsza się mieści bez trudu zgoła w wyrazie „szkoła”, w wyrazie „poła”, tylko im trzeba (każdy to wie) zostawić tylko litery dwie.

Druga się mieści (sprawa to łatwa) w wyrazie „dziatwa”, w wyrazie „dratwa”. Tylko im trzeba (każdy to wie) zostawić tylko litery dwie.

Na całości rada dziatwa w szkole siada.

ROZWIĄZANIA Z Nr. 2-ego.

Rebus: Kopiec na Sowińcu w Krakowie. Układanka geograficzna: Poznań, Inowrocław, Łódź, Stanisławów, Ujazdów, Dęblin, Sosnowiec, Kraków, Inowrocław — *Piłsudski*. Zagadka 1: szabla. Szarada 1: kopiec. Zagadka 2: miłość. Szarada 2: Wawel.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1. (wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK. Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa



PRZY PRACY